

# COFNIĘCIE CZASU



HENRY HAZLITT

COFNIĘCIE CZASU

Przełożyli  
Piotr Toboła-Pertkiewicz  
i  
Rafał Rudowski



Warszawa 2011

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Prohibita  
Tytuł oryginału: *Time Will Run Back*  
Tłumaczenie na podstawie wydania II wydania amerykańskiego, University Press of America, 1984. Pierwsze wydanie amerykańskie 1951.

Wydanie I  
ISBN:  
978-83-61344-22-3

Projekt okładki:  
*Maciej Harabasz*  
Redakcja:  
*Jacek Piasecki*

Wydawca:  
Wydawnictwo PROHIBITA Paweł Toboła-Pertkiewicz  
[www.prohibita.pl](http://www.prohibita.pl)  
[wydawnictwo@prohibita.pl](mailto:wydawnictwo@prohibita.pl)  
Tel: 022 424 37 36

Sprzedż książki w Internecie:

**multibook.pl**

KSIĘGARNIA INNA NIŻ WSZYSTKIE

Więcej informacji o książce i autorze:  
[www.hazlitt.pl](http://www.hazlitt.pl)

Ludwigowi Misesowi

(...) Bo tak to jest, że gdy coś posiadamy,  
Nie doceniamy tego; gdy stracimy,  
Z żalu gotowiśmy nawet przeceniać  
Nie docenianą dawniej wartość rzeczy.

William Szekspir, *Wiele hałasu o nic*,  
Akt IV, scena 1; w przekładzie Stanisława Barańczaka.

# Część I: Zagubiony

## Rozdział 1

**P**eter Uldanow czekał już dobre pół godziny.

Podszedł do okna i spojrzął na ulicę biegnącą jakieś trzydzieści pięter niżej, później jego wzrok powędrował do góry, na stojące naprzeciw szare budynki, wreszcie ponad samo miasto, aż wszystko, co widział, stopiło się z mglistym horyzontem.

Widok, który rozpościerał się za oknem, pełen był zaniedbania.

A więc to jest Moskwa! Stolica Wonworldu!

Budynek, w którym się znajdował, był nowy, wysoki i pomalowany na czarny, błyszczący kolor. Zdążył rzucić nań okiem wysiadając z taksówki. Jednak z obecnej perspektywy nie widział przed sobą niczego, co posiadałoby minimalny choćby urok, niczego, co miałoby czysty i świeży wygląd.

Był to pierwszy dzień Petera w Moskwie od wczesnego dzieciństwa. Kiedy skończył osiem lat, wysłano go razem z matką i tabunem służących oraz preceptorów na odizolowaną od świata jedną z wysp należących do Bermudów. Teraz, kiedy patrzył na ponurą rzeczywistość za oknem, stanął mu przed oczami tamten biały dom z białym dachem i niesamowity błękit morza graniczącego z jego ogrodem.

Dlaczego ojciec posłał po niego? Nie widzieli się od lat. Pamiętał jak przez mgłę ciemnego, wysokiego mężczyznę, przed którym drżał w panicznym lęku. Jego ojciec był dyktatorem Wonworldu, zarządzał niezliczonymi ludami świata, co przynosiłoby, jak mniemał, Peterowi wielkie korzyści, pod warunkiem wszakże, że ktokolwiek by o tym wiedział. W jakimś stopniu odczuwał dumę z tego faktu, ale była ona stale zastępowana uczuciami niechęci i strachu, których nauczył się od matki. Ta też przyczyna stała się powodem, dla którego marzył o jednej,

jedynej rzeczy: aby pozostawiono go w spokoju i by mógł zajmować się muzyką.

Czegóż zatem mógł chcieć od niego ojciec właśnie teraz, po dziesięciu latach rozłąki?

Obrócił się i beznamiętnie rozejrzał po pokoju. Jediną rzeczą na ścianie był sporych rozmiarów kalendarz.

Dzień Lenina, 30 kwietnia 282 A.M.

A.M.: After Marx; Po Narodzeniu Marksa. Marks urodził się jeszcze pod rządami starego, burżuazyjnego kalendarza w ówczesnym roku 1818. Gdyby go nie zmieniono, mielibyśmy teraz burżuazyjny rok 2100. Dziwne, ale nigdy dotąd nie zdarzyło się Peterowi dokonać takiego przeliczenia. Nikt od dawna nie interesował się minionym, kapitalistycznym, zatrutym światem, który został zmieciony z powierzchni ziemi ponad sto lat wcześniej.

Wreszcie do pokoju wszedł osobisty sekretarz towarzysza Staleni-  
na, Siergiej, i powiedział:

– Jego Najwyższość przyjmie cię teraz.

Peter podążył za swoim przewodnikiem najpierw przez gabinet, który musiał należeć do sekretarza, a następnie został wprowadzony do o wiele większego, ze ścianami pokrytymi boazerią.

Za ogromnym biurkiem ustawionym w przeciwległym rogu pokoju, po lewej stronie, siedział towarzysz Stalenin, dyktator Wonworl-  
du. Jak przez mgłę dotarło do Petera, że to właśnie jest jego ojciec.

Tymczasem sekretarz uklonił się i wycofał.

Dyktator wstał zza biurka i zbliżył się do gościa. Miał o wiele bardziej poszarzałą twarz i zmęczony wygląd niż na oficjalnych portretach, które – odkąd Peter sięgał pamięcią – nigdy się nie zmieniały. Miał jednak w sobie tę samą drzemiącą, ogromną siłę, którą tak dobrze pamiętał. Czo-  
ło miał szerokie, włosy krótko przycięte, głowa, ramiona i pierś wyglądały jak granitowy pomnik wzniesiony na środku jakiegoś placu.

Ręce ojca spoczęły teraz na ramionach syna, a oczy bacznie mu się przypatrywały. Peter ze zdziwieniem dostrzegł, że ojciec wcale nie jest od niego wyższy. Sam mierzył nieco ponad sześć stóp, ale teraz zdał sobie sprawę, że przez całe życie bezwiednie uważał ojca za kogoś obdarzonego nadludzkimi proporcjami. Zapewne przyczyniły się do tego wszechobecne, gigantyczne portrety. Było coś szokującego w tym, że wielki Stalenin okazał się być podobnym do ludzi, w tym do niego samego. Ich oczy spotkały się teraz na tym samym poziomie.

Wyraz twarzy dyktatora, dotąd surowy, przybrał nieco łagodniejszy wygląd.

– Jesteś dość przystojny – powiedział. – A nawet robisz wrażenie. To bardzo dobrze. To ważne.

Znów spojrzał na Petera.

– Powiedziano mi, że jesteś znakomitym pianistą i kompozytorem. Miło mi to słyszeć. Jeśli ktoś wykazuje się talentem w małych, trywialnych sprawach, może też sporo dokazać w wielkich.

Peter obruszył się. Muzyka jest trywialna? A zresztą co ojciec mógł wiedzieć o jego zamiłowaniu do muzyki? Nigdy do siebie nie pisali, nie kontaktował się też z matką, poza jednym wyjątkiem, kiedy w ubiegłym roku zmarła i wymienili przy tej okazji jedyny list na przestrzeni dziesięciu lat, odkąd ojciec go odesłał. Kto był jego informatorem?

Stalenin uśmiechnął się teraz tajemniczo i zapytał:

– Pewnie zastanawiasz się, dlaczego po ciebie posłałem?

Peter milczał.

– Z pewnego powodu – kontynuował Stalenin – zdecydowałem wziąć się w końcu za twoją edukację. Pewnie tego nie wiesz, ale jesteś największym ignorantem w całym Wonworldzie.

– Ależ, Wasza Najwyższość, zawsze mówiono mi, że mam najlepszych nauczycieli...

– Wiem wszystko o twoich nauczycielach. Ich zadaniem było chronić cię przed powzięciem jakiegokolwiek prawdziwej wiedzy o współczesnym świecie.

Dyktator wrócił do biurka i nabił sobie fajkę.

– Żyłem z twoją matką aż do momentu, kiedy skończyłaś osiem lat. Po tym, jak zostałem dyktatorem, a było to w 268., kiedy miałeś zaledwie pięć lat, jej osoba zaczęła stwarzać mi problemy. Nazbyt żywo występowała przeciwko Wielkiej Czystce w 271., pewnie dlatego, że zmiotła też jej brata. Ale była niezbędna dla zapewnienia Wonworldowi bezpieczeństwa. Twoja matka jednak znienawidziła zarówno mnie, jak i to wszystko, co sobą reprezentowałem. Wydawało jej się, że próbuję cię „skorumpować” zapewniając ci taką samą komunistyczną edukację, jaką odbierają wszystkie dzieci w naszym kraju. Ośmieliła mi się sprzeciwić. Pewnie zdawało jej się, że każę ją torturować, wydobędę przyznanie się do zdrady albo od razu obetnę jej głowę.

Dyktator na chwilę przerwał.



– Poprosiłem ją, żeby powiedziała mi dokładnie, co by ją usatysfakcjonowało. Odpowiedziała, że marzy o wyjeździe gdziekolwiek, na jakąś samotną wyspę, z dala od Wonworldu, gdzie odzyskałaby syna i mogłaby go sama wychowywać bez najmniejszej wzmianki czy to o mnie, czy o naszej ideologii, wreszcie o tak zwanych „cudach” Wonworldu... Zgodziłem się na to szaleństwo. Wysłałem was na tę małą wyspę na Bermudach, *a propos*, jaką ona właściwie ma powierzchnię?

– Około trzech hektarów.

Stalenin kiwnął głową i podjął:

– Zarządziłem, żeby nikt nie miał wstępu na wyspę oprócz służby dostarczającej wam zaopatrzenie. Wszystkie produkty, jak wiesz, przywożono regularnie z największej wyspy małą motorówką. Twoja matka chciała, by to miejsce stało się czymś w rodzaju, jak to sama nazwała, oazy na oceanie Wonworldu. Dlatego też prosiła, żebyś był uczony tylko tych rzeczy, które ona wybrała. Zgodziłem się na wysłanie najlepszych nauczycieli. Uczyli cię muzyki, matematyki – tak przy okazji, rozumiem, że masz ją opanowaną w podobnym stopniu jak dyplomowany inżynier? Zresztą sprawdzimy to. Czego jeszcze cię uczono?

– Fizyki, chemii, astronomii, psychologii, biologii, ogrodnictwa, meteorologii...

– I, rzecz jasna, uprawiałeś jakieś sporty – wtrącił Stalenin. – Powiedziano mi, że pływasz jak zawodowiec. I że jesteś świetnym szachistą. To podoba mi się najbardziej: dowodzi, że masz umysł stratega. Jednak niezależnie od tego – powiedział wertując leżące przed nim akta. – Nadzedeł czas, żeby uświadomić ci, jakim ignorantem jesteś w kwestiach, o których powinien posiadać wiedzę każdy współczesny człowiek. Widzę, na przykład, że jesteś absolutnym zerem, jeśli chodzi o historię, politykę, socjologię, ekonomię. Nie miałeś najmniejszego kontaktu z naszą wspaniałą literaturą propagandową. Nikt nie nauczył cię marksistowskiej logiki, nie możesz zatem choćby przymierzać się do zrozumienia materializmu dialektycznego... Będzie trzeba sporo się nad tobą napracować – tu spojrzął bacznie Peterowi w oczy. – Gdyż dopóki nie przekonasz mnie, że jesteś w stanie nauczyć się prawidłowo myśleć i stać się użytecznym członkiem społeczeństwa...

Ostatniego zdania nie dokończył.

– Przez następne dwa tygodnie jesteś całkowicie wolny – kontynuował po chwili. – Rozejrzysz się, zwiedzisz to wielkie miasto, liźniesz trochę wiedzy. Dostałeś swoją porcję kartek?

Peter sięgnął do kieszeni i wyjął z nich sporo bloczków w różnych rozmiarach i kolorach.

– Dowiedz się, do czego służą – powiedział Stalenin, a jego głos stał się odrobinę przyjemniejszy dla ucha. – Czy wiesz, co oznacza szary mundur, który masz na sobie?

– Rano, zanim opuściłem hotel, kazano mi go włożyć.

– To jest oficjalny ubiór Proletariuszy – oznajmił poważnym na powrót głosem Stalenin. – To wyjątkowy status. Proletariusze stanowią trzy czwarte społeczeństwa i oczywiście w związku z tym to oni rządzą. Wonworld to dyktatura proletariatu. Ja jestem tylko narzędziem w jego ręku, jego rzecznikiem – tu uśmiechnął się ponuro. – Musisz się też nauczyć rozpoznawać inne uniformy i, po pierwsze, odpowiednio traktować tych, którzy je noszą, a po drugie, wiedzieć, jak masz być przez nich traktowany. Przede wszystkim musisz nauczyć się rozpoznawać Protektorów. To ci w czarnych mundurach, chyba że któryś jest oficerem armii, wtedy nosi jasnoczerwoną górę. Protektorzy to nasi najwyżej usytuowani towarzysze, stanowią około jednego procenta ludności. Po nich idą Zastępcy. Ich kolor to granat. Około dziesięciu procent. Są wśród nich intelektualiści, technicy, niżsi kierownicy – słowem ludzie, którzy mogą w przyszłości dostać się do grona Protektorów. Protektorzy i Zastępcy tworzą coś, co czasem nazywamy Żelazną Ramą. Są jak zawodowi i nadterminowi oficerowie w siłach zbrojnych. Na samym dole zaś mamy klasę Niepewnych Społecznie. Niestety, ciągle jest ich prawie dwadzieścia procent. Albo popełnili oni przestępstwo przeciwko komuś należącemu do Żelaznej Ramy, albo okazali się niezdolni do bycia dobrymi Proletariuszami. Wysyła się ich do obozów pracy... albo zdychają z głodu. Noszą brązowe uniformy, oczywiście czasem już tylko z nazwy. W żadnym wypadku nie powinieneś szukać z nimi kontaktu. Zastępcom powinieneś okazywać należne poważanie. A co do Protektorów, to masz ich kochać, szanować i we wszystkim słuchać. Jakies pytania?

– Gdzie będę mieszkał, Wasza Najwyższość?

– Znajdziesz swój nowy adres w papierach, które ci dano. Będziesz miał własny pokój – niewielu Proletariuszy cieszy się takim przywilejem. I jeszcze jedno: przynajmniej na razie nie chwal się, że jesteś moim synem.

– Ale co z moim nazwiskiem?

– A nic, podawaj je każdemu, kto cię o nie zapyta. Poza Politbiu-

rem nikt pewnie nie pamięta, że naprawdę nazywam się Uldanow, a nawet jeśli, to pewnie pomyśli, że to zbieg okoliczności. Zresztą dobry Proletariusz nie ma zbyt wielu okazji do używania nazwiska. Przez większość czasu będziesz używał swojego osobistego numeru. Jutro o niego wystąpisz. Coś jeszcze?

– Kiedy znów będę miał okazję ujrzeć Waszą Najwyższość?

– Dam ci znać. Przy okazji, jutro jest Pierwszy Maja i mamy jak zwykle pochód. Oczywiście pójdiesz go zobaczyć.

## Rozdział 2

**W**iatr podrywał tumany piachu, w powietrzu fruwały pety i pogniecione gazety. Peter szedł pochylony do przodu, starając się chronić oczy i gardło od wszechobecnego piasku. Jeśli z perspektywy trzydziestego piętra Moskwa wyglądała na zaniedbaną, na poziomie chodnika była po prostu plugawa. Kolejne mijane budynki reprezentowały wszelkie możliwe stadia zrujnowania i zniszczenia. Jedyнным wytchnieniem dla oka w tej monotonii – o ile można było w tym krajobrazie w ogóle mówić o wytchnieniu – były znajdujące się niemal wszędzie plakaty, z których wyzierała bądź twarz Stalena, bądź krzyczały slogany wzywające do Pracy! Produkcji! Lojalności!, tudzież ostrzegające przed sabotażystami i szpiegami.

Ludzie na ulicy również wydawali się brudni i bezbarwni. Typowa twarz mieszkańca Moskwy miała w sobie mniej ekspresji, niż ma jej potylicą niemowlaka. Kobiety nosiły dokładnie takie same szare proletariackie mundurki jak mężczyźni. Czy Peter mógł spodziewać się czegokolwiek innego? Nagle przypomniał sobie o czymś. Jego matka zawsze ubierała się w coś, co nazywała spódnicą. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że była jakaś inna, żeby nie powiedzieć ekscentryczna.

To, co obserwował w tej chwili, było prawdziwym światem. Życie na jego wyspie na Bermudach wydało mu się teraz dziwnie odległe, odizolowane, nierzeczywiste. Prawdę mówiąc, czuł się trochę jak dziwak.

Nagle znalazł się przed gmachem, którego wygląd wskazywał, że jest siedzibą publicznej biblioteki. Zainteresowanie Petera wzrosło. Czy można do niej wejść? Zdecydował się spróbować.

W środku było pusto i cicho. Zaczął chodzić między półkami.

– Czy życzy pan sobie obejrzeć jakiś szczególny tytuł? – stanęła

obok niego ładna, uśmiechająca się doń blondynka. Sądząc po kolorze jej mundurka, który był ciemnoniebieski, należała do klasy Zastępców. Miała łagodny wyraz twarzy i najbardziej błękitne oczy, jakie widział w swoim życiu.

– Ona na pewno mnie zrozumie – pomyślał bezwiednie.

– Jestem tu bibliotekarką – przedstawiła się.

Musiało być coś specjalnego, o co mógłby poprosić. Ależ, oczywiście:

– Gdzie tu macie dział muzyczny? Chciałbym przejrzeć partytury Mozarta.

– Partytury Mozarta? Przecież one są w Dziale Starego Świata, a w dodatku mogą je oglądać wyłącznie wciągnięci na listę Specjalnych Przywilejów!

– Co to znaczy Dział Starego Świata?

Bibliotekarka spojrzała na Petera z niedowierzaniem. Ano tak, przecież to tylko zwykły Proletariusz, skąd ma wiedzieć.

– Partytury Mozarta – zaczęła cierpliwie wyjaśniać, jakby mówiła do dziecka – są na bardzo krótkiej liście dzieł, które uniknęły wrzucenia do Wielkich Stosów Wyzwoleńczych, kiedy niszczyliśmy pozostałości starej i zatrutej cywilizacji kapitalistycznej. Nie wolno ich oglądać nikomu, kto nie figuruje na liście obdarzonych Specjalnymi Przywilejami i dysponuje potwierdzającą to kartą. Nawet mnie nie wolno ich czytać. Trzymamy je w specjalnym pomieszczeniu, za dwójgim żelaznych drzwi. Zresztą ja mam klucz tylko do pierwszych.

– A gdzie mógłbym dostać taką kartę? – zapytał Peter.

Blondynka spojrzała z politowaniem na jego proletariacki mundur.

– Osobiście nigdy nie słyszałam, żeby ktoś, kto nie jest Protektorem albo przynajmniej członkiem Partii, dostał kartę Specjalnych Przywilejów.

– Ale dlaczego nie pozwolicie czytać książek wszystkim, którzy mają na to ochotę?

Tym razem spojrzenie bibliotekarki stało się wyraźnie podejrzliwe. W jej oczach odmalowała się niepewność. Nikt, nawet ostatni głupek z kołchozu, nie mógłby być takim ignorantem. Czy to przypadkiem nie agent tajnej policji?

– Powstałby wtedy niezły bałagan – powiedziała mechanicznie – gdyby tak każdemu pozwolić na czytanie książek, które pozostały po starej,

zatrutej cywilizacji kapitalistycznej. Kto to widział, żeby pakować ludziom do głowy wszystkie te wywrotowe pojęcia! Tylko mała, odpowiednio przeszkolona grupka może czytać takie rzeczy, tylko ludzie, których umysły są na tyle zdyscyplinowane, żeby nie dali się zaagitować starej, burżuazyjnej propagandzie, której w tych książkach pełno. Zresztą czytają je oni tylko po to, żeby byli przygotowani na odpieranie kłamstw, które mogą rozgłaszać złośliwi burzyciele porządku.

– Ale co wam zrobił Mozart – Peter nie poddał się tak łatwo – co wywrotowego jest w płynnym złocie nut Mozarta?

Nie ma co, agent tajnej policji! Bardzo podchwytliwe pytanie. Bibliotekarka już wiedziała, że jej życie może zależeć od odpowiedzi, której za chwilę udzieli.

– O tym, co w nich jest wywrotowego, nie mnie decydować – rzekła powoli. – Ja uważam, że bardzo dobrze się stało, iż każda książka, o czymkolwiek by nie traktowała, pochodząca ze starego, zatrutego świata, może być dostępna tylko dla tych, którzy są na liście Specjalnych Przywilejów. To bardzo mądra decyzja.

Mówiąc to patrzyła głęboko w oczy swojego rozmówcy, jakby chciała z nich od razu wyczytać reakcję na to, co mówi.

– Proszę się nie martwić – dodała już bardziej przyjaznym tonem – że nie ma pan karty. Mamy wiele wspaniałych książek dostępnych i bez niej – tu zaczęła prowadzić go wzdłuż półek. – O, tu, na przykład, jest dział książek biograficznych poświęconych osobie naszego Wielkiego Dyktatora, Towarzysza Stalenina.

– Dlaczego nikogo poza mną nie ma w bibliotece? – zapytał z innej beczki Peter.

Spojrzenie blondynki na powrót stało się podejrzliwe i pełne przestrochu.

– Nasza biblioteka dokłada wszelkich starań, żeby skłonić ludzi do czytania tych książek – zaczęła – zawsze polecamy je naszym czytelnikom jako pierwsze. Niektóre z nich, zapewne, mogą rozczarować czytających, ponieważ ich język nie zawiera tylu pochwał, na jakie zasługują dokonania naszego Wodza. Ale ja myślę, że w ludziach jest i tak za dużo pobłażliwości. Musimy wykorzystać i to.

Ona przeczy samej sobie, pomyślał Peter. Co ona w zasadzie ma na myśli – czy to książki nie są odpowiednie dla czytelników, czy raczej czytelnicy nie dorośli do tych książek?

Poczuł się pokonany. Książki nawet oglądane z zewnątrz spr-

wiały wrażenie beznadziejnie nudnych. W dodatku zdał sobie sprawę, że był zbyt dociekliwy. A zależało mu na tym, żeby go polubiła.

– Książki wyglądają na rzeczywiście wspaniałe – powiedział głośno. – Tak się jednak składa, że dziś wieczór wychodzimy gdzieś z przyjaciółmi i mógłbym taką wspaniałą książkę zapodziać, gdybym wypożyczył ją właśnie dzisiaj. Może jutro po którąś przyjdę.

– Jutro biblioteka jest nieczynna. Pierwszy Maja.

– No tak, oczywiście. Czy wybiera się pani obejrzeć pochód?

– Naturalnie.

– Zatem może będę miał sposobność zobaczyć się tam z panią.

Uśmiechnęła się na myśl o możliwości znalezienia się w takim tłumie. Jednak po chwili dotarło do niej. Oczywiście, że się zobaczą. On po prostu dostał polecenie, żeby ją tam zobaczyć. Popatrzyła na Petera z nieskrywanym przestachem. Jej wzrok powędrował na jego lewą klapę, gdzie powinien mieć wpięty znaczek z numerem osobistym. Nie było go.

Triumfalnym głosem oznajmiła:

– Chciałabym zobaczyć pański dowód osobisty.

Dowód osobisty! To mogło go zdradzić. Ale przecież ojciec zapewniał... Podał jej dokument.

– Peter Uldanow – przeczytała z naciskiem. Zapisała nazwisko na fiszce obok daty i godziny odwiedzin. – Poproszę jeszcze o numer.

A zatem nazwisko nic jej nie mówiło.

– Nie mam jeszcze tutejszego numeru. Widzi pani, to mój pierwszy dzień w Moskwie. Przepraszam za głupie pytania. Jeśli można, będę tu wpadał, mam nadzieję często, i oglądał pani książki.

## Rozdział 3

**R**obiło się coraz ciemniej. Peter znalazł się w dzielnicy robotniczej. Z przeciwka dobiegł go odgłos maszerującej kolumny. Wkrótce ujrzał maszerujących czwórkami mężczyzn i kobiety. Co chwilę ludzka masa zatrzymywała się, po czym znów ruszała. Kiedy byli już blisko, zobaczył, że dowodzi tym wszystkim kobieta o zniszczonej twarzy, która co jakiś czas wydaje komendę w rodzaju tej, którą właśnie słyszał:

– Stać! Numery T-349, T-350 i L-184!

Kolumna zatrzymała się, odłączyło się od niej troje osobników, dwóch mężczyzn i kobieta, zasalutowali i mijając Petera weszli do jednego ze stojących w tym miejscu budynków. Kolumna ruszyła.

Peter zatrzymał jakiegoś człowieka i zapytał:

– Towarzyszu, czy to jakiś pochód?

– Pochód? Twarz zaczepionego najpierw wyrażała zdumienie, ale natychmiast zmieniło się ono w podejrzliwość. – Ależ to jak co dzień armia robotnicza maszeruje do domów.

Peter wymruczał coś, co miało brzmieć jak przeprosiny.

Był coraz bardziej głodny. Pomyślał, że warto byłoby znaleźć dobrą restaurację. Minął już jednak wiele przecznic, a na żadną nie natrafił, jeśli nie liczyć ponurych garkuchni, z których dobywały się nie tyle zapachy gotowanego jedzenia co odory. Zaczął już tracić nadzieję, kiedy nagle zobaczył restaurację lepiej oświetloną i wyraźnie czystsza niż te, które dotychczas mijał.

Pierwsze zaskoczenie spotkało go już w drzwiach.

– Czego tu szukacie? – zapytał kelner, taksując ostentacyjnie wzrokiem proletariacki mundur Petera.

– Przepraszam, myślałem że... – nowo przybyły rozejrzał się po sali i dostrzegł wyłącznie granatowe mundury Zastępców. Wszedł



i skierował się na poszukiwanie następnej jadłodajni dla proletariatu. Wkrótce taką znalazł. Była zatłoczona, głośna i bardzo brudna. Mimo dojmującego głodu, zapach pochodzący niewątpliwie z kuchni sprawił, że o mało nie zemdleł. Pomimo tego zajął karnie miejsce w kolejce, jak mu powiedziano, i za jakiś czas stanął przed biurkiem, za którym siedział rejestrator.

– Czemuż to nie jecie w waszej zwykłej restauracji, do której jesteście zapisani? – zapytał urzędnik.

– Jestem nowy w Moskwie.

W końcu na biurku znalazła się wielka księga, a Peter został poproszony o wpisanie w odpowiednich miejscach swoich danych: nazwiska, adresu, godziny wejścia, celu wizyty...

– Cel wizyty? – zapytał Peter. – Czy ktokolwiek przychodzi tu w jakimś innym celu, niż się najeść?

– Mogą tu przychodzić różni tacy, żeby spiskować przeciwko rządowi albo rozpowszechniać fałszywe plotki – poinformował go siedzący za biurkiem.

– Ale czy oni wpisaliby to do księgi jako cel wizyty?

– Pewnie nie. Ale zawsze rząd mógłby im to doliczyć do wyroku jako dodatkowe przestępstwo fałszerstwa.

Petera zaprowadzono do czteroosobowego stolika. Trzy miejsca były już zajęte. Nikt jednak z siedzących nie odezwał się do niego.

– Co pan dziś poleca? – uprzedził z błogą nadzieją pytanie kelnera. Ten jednak spojrzął na niego, jakby miał do czynienia z jakimś wyjątkowym zuchwalcem i poszedł sobie. Za kwadrans wrócił niosąc miskę zawierającą rozgniecione i nie wiedzieć czemu ciemnoszare ziemniaki, trochę brukselki i utłuczoną rzepę pokrytą jakimś smarem. To ma być zwyczajne jedzenie w Wonworldzie, pomyślał Peter. Czyżby dotychczas go rozpieszczano?

Brud dotychczas karnie przylepiony do rękojeści sztućców zmienił położenie i przeniósł się na jego palce. Obrus, na którym stała miska, był cały w plamach po kawie i rozwałkowanych petach. Co jakiś czas kelner wracał i zaglądał Peterowi przez ramię.

– Co to, jeszcze nie skończyliśmy? – zapytał w końcu.

Jedzący odepchnął lekko od siebie talerz w stronę kelnera.

– A więc to tak, marnujemy porządne, proletariackie jedzenie? – zagrzemiał. Peter kiwnął głową. Zależało mu już tylko na kawie, która wypłukałaby mu z ust smak tego, co przed chwilą zjadł.

Kawa nie dość, że była letnia, to smakowała jak błoto. Peter rozejrzał się. Przy pobliskim stoliku siedział mężczyzna z krzaczastymi brwiami, którego twarz wydała mu się znajoma. Po chwili sobie przypomniał. Tak, widział go na ulicy, naprzeciwko wejścia do biblioteki, kiedy ją opuszczał. A teraz jest tutaj. Dziwny zbieg okoliczności!

Wyjął z kieszeni kilka bloczków z kartkami i zaczął je wertować. Tworzyły jednak na tyle zagmatwany zbiór, że w końcu nie udało mu się połapać, które ma oddać kelnerowi, więc kiedy tamten przechodził wręczył mu wszystkie. Ów wydał starannie kupony z trzech różnych bloczków, a resztę oddał właścicielowi, tym razem patrząc nań z niekłamany podziwem.

– Jesteście nadzwyczaj dobrze uposażeni, towarzyszu. Macie nawet kartki na rozrywkę. Musicie być stachanowcem!

Peter nie miał pojęcia, o czym kelner do niego mówi, ale na wszelki wypadek przytaknął. Wpadła mu do głowy pewna myśl.

– Jest dziś wieczorem coś wartościowego do obejrzenia lub posłuchania?

– A jaki rodzaj rozrywki lubicie?

– Muzykę.

– W takim razie powinniście koniecznie posłuchać, jak śpiewa Elena Bolszekowa.

– Kim ona jest?

Twarc kelnera przybrała wyraz bezbrzeżnego zdziwienia: – Od razu widać, że jesteście nowi w Moskwie. Przecież to córka Numeru Dwa!

– Numeru Dwa?

– No, Bolszekowa! Córka Bolszekowa!

\*

Po odstaniu w długiej kolejce, prezentacji odpowiednich kartek i podpisaniu się w kolejnej księdze, Peter dostał bardzo dobre miejsce na balkonie teatru.

Rozejrzał się po sali. Mundurów proletariackich było niewiele. Większość publiczności stanowili Zastępcy. Najlepsze łoża oraz dwa pierwsze rzędy parteru zajmowali natomiast Protektorzy i wojskowi.

Akcja opery oparta była na jakiejś średniowiecznej legendzie i działa się tuż przed narodzeniem Marksa. Tematem była walka proletariuszy z kapitalistami. W prawie każdej scenie ci pierwsi byli pod-

dawani chłóście, a to za spóźnienie do pracy przy budowie kolei, a to za omdlenie ze zmęczenia. Główna bohaterka, czyli córka Bolszekowa, śpiewająca partię sprzedawczyni biletów, również regularnie obrywała, zwłaszcza jak nie udało jej się sprzedać na prywatne pociągi tylu biletów, żeby biznes się opłacił. Głos miała trochę więcej niż mierny, ale za to bardzo ładne kształty, a do tego przez większą część spektaklu nosiła czerwone, jedwabne i obcisłe pończochy. Muzyka charakteryzowała się przede wszystkim tym, że była głośna.

Na samym końcu Elena Bolszekowa zebrała nieprawdopodobne brawa i sporą ilość razy wywołano ją przed kurtynę.

Idąc do wyjścia przez foyer oczy Petera znów wypatrzyły mężczyznę z krzaczastymi brwiami, który jak zwykle mu się przyglądał.

Z dostarczonych mu papierów wynikało, że został ulokowany w małym, ponurym hoteliku. Udał się tam. Jego bagaż już na niego czekał.